

Anne Phillips

CZY FEMINISTKI MUSZĄ ZREZYGNOWAĆ Z LIBERALNEJ DEMOKRACJI?

Feminizm często wchodził w konflikt z demokracją liberalną i sądy feministek r
Długotrwałe odmawianie kobietom najbardziej podstawowego
prawa do głosowania najzwyczajniej w świecie okazało się po
prostu wierzchołkiem góry lodowej: onieśmielającym znamieniem
istnienia głębszych struktur, które utrzymują kobiety w stanie
politycznej dyskryminacji. Niezależnie od tego, do czego może
pretendować w innych dziedzinach, liberalna demokracja kobietom nie przysłu

W ramach tej ogólnie negatywnej perspektywy wyróżnić
można jednak dwa dostrzegalne nurty². Pierwszy swe źródła ma
w koncepcjach politycznych współczesnego ruchu kobiecego,
który pojawił się w okresie rozpowszechnionego niezadowolonia
powszednimi realiami demokracji liberalnej i pospołu właściwie
z wszystkimi radykalnymi ugrupowaniami lat 60. i 70. hołdował

¹ Spośród tekstów krytycznych por.: C. Pateman, *Feminism and democracy*, (1983), przedrukowane w: C. Pateman, *The Disorder of Women*, Polity Press, Cambridge 1990; S. Rowbotham, *Feminism and democracy*, w: I. I Held, C. Pollitt (red.), *New Models of Democracy*, Open University and Sage, London 1986; A. Phillips, *Engendering Democracy*, Polity Press, Cambridge 1991,

² Ograniczam się tutaj do analizy stosunku feministek do liberalnej demokracji w ciągu ostatnich 25 lat, czyli odkąd narodził się współczesny ruch kobiecy. Co innego można by powiedzieć o wcześniejszym podejściu feministek

wizji demokracji bardziej aktywnej i uczestniczącej. Większość grup kobiecych przełożyło to w swych praktykach na nieufność wobec hierarchii i przywództwa, na dbałość o zapewnienie wszystkim uczestniczkom dostępu do ekspertyz, wpływu na działania i czasu na zaprezentowanie swych poglądów; na przedkładanie bezpośredniej demokracji mityngów nad anonimowe głosowanie. Kwestia relacji między takimi zasadami samoorganizowania się a zasadami, które miałyby obowiązywać we wspólnocie politycznej jako takiej, nie była raczej przedmiotem pilnej troski, ale feministki — pod ogólnym hasłem „osobiste jest polityczne” — wypracowały analizę władzy, wedle której jest ona fenomenem wszechogarniającym, zaś demokracja jest wszędzie potrzebna. Ruch kobiecy zaczął zatem opowiadać się za wartościami lokalnej, zdecentralizowanej demokracji; za ideą, iż demokracja jest ważna wszędzie tam, gdzie istnieją relacje władzy, i za tezą o istotności form organizacyjnych jako stanowiących prefigurację ostatecznych celów.

Teoretyzacja feministycznych poglądów na demokrację nastąpiła wyraźnie później, ale gdy do niej doszło (w dużej mierze w ciągu lat 80.), feministki przeszły, jak się zdawało, na bardziej szacowny grunt idei obywatelstwa i politycznej równości³. O ile pierwsza faza myśli feministycznej zbiegła się z boomem na demokrację uczestniczącą, o tyle druga nastąpiła w czasach rosnącego lekceważenia wobec „fetysza demokracji bezpośredniej”⁴ i odradzającego się zaufania do procedur demokracji liberalnej. To zaufanie nie było przez feministki w pełni podzielane, ale wspomniane przejście od idei uczestnictwa do idei obywatelstwa odzwierciedla niemniej jednak ruch, który nastąpił w ramach całej myśli radykalnej. W pierwszej fazie feministki zajmowały się czymś, co można by nazwać demokracją na poziomie *mikro* — demokracją w ramach ruchu i w codziennym życiu. W drugiej fazie, zajmując się zagadnieniem uczestnictwa kobiet we wspólnocie politycznej, przeszłyśmy na poziom *makro*: rozpatrywałyśmy kwestie dopuszczania i wykluczania i temperowałyśmy uniwersalizujące pretensje nowoczesnej myśli politycznej⁵. W pierwszej fazie bardziej konwencjonalne rozważania

³ Przegląd nowych tekstów znaleźć można w: K. Jones, *Citizenship in a woman-friendly polity*, „Signs”, 15:4, 1990.

| N. Bobbio, *Which Socialism?*, Polity Press, Cambridge 1986 s. 78

Feministyczne krytyki uniwersalizującej teorii znaleźć można w pracy Pateman *The Sexual Contract*, Polity Press, Cambridge 1998 w esejach

na temat demokracji zostały niemal zmarginalizowane. Być może również poglądy charakterystyczne dla drugiej fazy trafią na margines, gdy przyjdzie ich kolej, ale tymczasem — jako związane z dyskursem obywatelkości — zajmują one w ideowej przestrzeni bardziej centralne miejsce.

Za opisaną zmianą kryją się pewne przyczyny charakterystyczne dla feminizmu. Ale zmiana ta odzwierciedla również podziały, które są charakterystyczne dla całej krytycznej literatury na temat liberalnej demokracji. Dla wielu demokratów zasadniczą słabością liberalnej demokracji jest fakt, iż ogranicza ona zakres i intensywność zaangażowania obywateli w rządzenie państwem, wycofując się w ten sposób z realizowania klasycznych ideałów demokracji, co rzuca cień wątpliwości na samą zasadność używania tego terminu. Bardziej ambitne praktyki aktywnego i równego zaangażowania w podejmowanie decyzji ustąpiły miejsca minimalistycznej czy też — żeby użyć określenia Benjamina Barbera — „słabej” koncepcji demokracji⁶, która gwarantuje niewiele więcej niż ochronę przed możliwymi nadużyciami ze strony władz. Główną zasadą współczesnej demokracji jest ta, która nakazuje władzom poddawanie się cyklicznemu odwoływaniu: musi istnieć wystarczająca wolność stowarzyszania się i informowania, ażeby sprzyjało to powstawaniu różnorodnych partii politycznych i regularnie muszą się odbywać wybory, w których głosować mogą wszyscy dorośli. Ci, którzy kwestionują takie ramy, z reguły żądają demokracji większej i rozpowszechnionej na więcej sfer. Wcześniejsze praktyki ruchu feministycznego mieszczą się generalnie w ramach tej właśnie szkoły myślenia.

Drugi główny atak skupia się porażce liberalnej demokracji w realizacji obietnicy politycznej równości. Liberalna demokracja skłonna jest uznawać, że postulat ten jest w wystarczającym stopniu spełniany przez równe prawa do głosowania i kandydowania w wyborach, a czyniąc tak, abstrahuje od warunków społecznych i ekonomicznych, które byłyby potrzebne, aby uczynić taką równość realną. Tymczasem, nawet jeśli odsunąć na bok

z antologii *Feminism/Postmodernism*, red. L. Nicholson, Routledge London 1990 i w tekście A. Phillips *Universal pretensions in political thought* w: M. Barrett, A. Phillips (red.), *Destabilizing Theory: contemporary-feminist debate*

⁶ B. Barber, *Strong Democracy: participatory politics for a new age*, University of California Press, Berkeley 1984.

kwesie płci i rasy, nasz nierówny dostęp do zasobów ekonomicznych — w połączeniu z nierównym dostępem do wiedzy i informacjami — daleko od swego pierwotnego kształtu, a zmiany posunęły się w istocie tak bardzo, że neoliberalowie lat 70. i 80. oburzali się przeciw temu, co postrzegali jako aż zbyt udany demokratyczny przewrót⁹. Jeżeli sama natura liberalnej demokracji może być w toku politycznej kontestacji kształtowana i przekształcana, wówczas być może należałoby uznać, że feministki mają wystarczająco dużo do zrobienia z kreowaniem demokracji, żeby przejmować się, czy demokracja będąca rezultatem ich wysiłków jest wciąż „liberalna”.

Obywatelstwo

Niedawne analizy kwestii kobiecej w powiązaniu z kwestią obywatelstwa mają sporo wspólnego z innymi krytykami liberalnej demokracji, a to z tej racji, że zajmują się zagadnieniem zasadniczych warunków, które trzeba by było spełnić, aby uczynić polityczną równość czymś więcej niż ładnym zestawieniem słów. Najbardziej oczywistym punktem wyjścia jest w tym wypadku niezwykła niedoreprezentacja kobiet w parlamentach na całym świecie. Wszystkie wersje liberalnej demokracji łączą prawo do głosowania z prawem do kandydowania w wyborach — i niewielu jej zwolenników jest równie nonszalanckich jak Joseph Schumpeter, który stwierdza w krótkim przypisie, że o polityczne przywództwo wolno nam rywalizować „w tym samym sensie, w jakim każdemu wolno uruchomić nowy zakład tekstylny”¹⁰. Jednak jeżeli przyjrzymy się dysproporcjom między procentem kobiet wśród ogółu obywateli a procentem kobiet wybieranych do władz, w najbardziej oczywisty sposób ujawni nam się czczość tego prawa”. Funkcje opiekuńcze, jakie większość kobiet pełni względem dzieci, chorych i osób starszych — żeby nie wspomnieć już o pełnosprawnych mężczyznach — stanowią potężną praktycz-

Analizuję tutaj przeprowadzone przez feministki mocne krytyki, które można by sklasyfikować pod trzema ogólnymi nagłówkami: obywatelstwo, uczestnictwo, heterogeniczność. W każdym wypadku zadaję pytanie: czy przedstawione tam argumenty przemawiają za odrzuceniem liberalnej demokracji? Zajmowanie się liberalną demokracją jako totalizującym systemem, za którym musimy się opowiedzieć albo być przeciw, to stanowisko niezbyt fortunne, ponieważ przypisuje liberalnej demokracji większą teoretyczną niezmienność, niż potwierdza to jej historia⁸. „Demo-

⁷ „Jeśli demokracja ma istnieć i obywatele mają być politycznie równi, to czy nie wymaga ona innych rozwiązań niż prywatna gospodarka rynkowa, a przynajmniej jakiejś jej modyfikacji?”. R. Dahl, *Demokracja i jej krytycy*, przeł. S. Amsterdamski, Znak, Kraków 1995, s. 451.

⁸ Jestem wdzięczna Davidowi Beethamowi za uwagi, które ostatecznie wyzwołyły mnie z tego przesądu.

⁹ Dowodzą tego Ernesto Laclau i Chantal Mouffe w *Hegemony and Socialist Strategy*, Verso, London 1985, rozdz. 4.

¹⁰ J.A. Schumpeter, *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, przeł. M. Rusiński, PWN, Warszawa 1995, s. 339.

¹¹ Aktualny przegląd warunków panujących w różnych częściach świata znaleźć można w: V. Randall, *Women and Politics*, wyd. 2, Macmillan, Basingstoke 1987. Szersze omówienie kwestii reprezentacji znaleźć można w: A. Phillips, *Engendering Democracy*, dz. cyt., rozdz. 3.

na barierę na drodze do ich politycznego zaangażowania, podczas gdy kulturowa interpretacja polityki jako sprawy należącej przede wszystkim do mężczyzn dyskryminuje te kobiety, które mimo to dążą do awansu. Rezultaty są łatwe do przewidzenia: jeśli nie liczyć istotnego wyjątku, jaki stanowią kraje skandynawskie, kobiety wybierane do istniejących na świecie zgromadzeń narodowych stanowią od 2 do 12 procent ich składu.

Sposoby zmiany tej sytuacji można podzielić z grubsza na trzy kategorie. Niektóre z problemów związane są z określanym przez płęć podziałem pracy w dziedzinie produkcji oraz reprodukcji i będą mogły zostać ostatecznie rozwiązane dopiero wówczas, kiedy mężczyźni i kobiety będą w równym stopniu uczestniczyć we wszystkich formach płatnej i niepłatnej pracy. Inne problemy związane są z warunkami pracy polityków i wymagają poważnego ich zmodyfikowania tak, aby były dostosowane również do potrzeb osób będących aktywnymi rodzicami. Jeszcze inne problemy są związane z uprzedzeniami „sameczych klubów” tworzonych przez gremia układające listy partyjnych kandydatów, co wymaga podjęcia działań afirmatywnych (takich jak wprowadzenie udziałów gwarantowanych) służących zwiększeniu liczby wybieranych kobiet. Waga, jaką feministki przywiązują obecnie do tej trzeciej kategorii rozwiązań, odzwierciedla naszą melancholijnie realistyczną ocenę w kwestii, ile czasu zajmie zmiana sytuacji w dwóch pierwszych dziedzinach, aczkolwiek jest to być może przykład zajmowania się objawami, a nie leżącymi u ich podłoża przyczynami. Warto jednakże zauważyć, że literatura dotycząca kwestii (niedo-)reprezentacji kobiet rzadko kiedy opisuje to zjawisko jako integralnie związane z liberalną demokracją.

Dla teoretyków ostatnio prezentujących swe poglądy charakterystyczna jest zmiana polegająca na rozpatrywaniu większego zbioru praw i odpowiedzialności, które leżeć mają *już u podstaw* liberalno - demokratycznych koncepcji obywatelstwa oraz tego, w jaki sposób są one związane z przypisywanymi płciom rolami. Feministki zwróciły na przykład uwagę na relacje między prawami obywatelskimi a kwestią bronięcia własnego narodu czy też między owymi prawami a wykonywaną przez daną osobę pracą i zauważyły, iż w obu wypadkach status kobiet jako obywateli jawi się jako całkiem wątpliwy. W wypadku dużej części późno — dziewiętnastowiecznych — wczesnodwudziestowiecznych sposobów na temat prawa wyborczego dla kobiet fakt, że kobiety nie walczą w obronie państwa, był uważany za rozstrzygający argument. Z kolei Carole Pateman zauważyła, że część kontrargumentów

przemawiających za rozciągnięciem na kobiety prawa do głosowania opierało się na tezie, że kobiety, odgrywając rolę matek i wychowawczyń, również odbywają służbę publiczną — że kobiety, które umarły w połogu, oddały swe życie narodowi tak samo jak mężczyźni, którzy zginęli w bitwie; że kobiety, które poświęciły swe życie rodzeniu i wychowywaniu dzieci, wykonywały zadania, bez których żadne społeczeństwo nie może przetrwać, i że te pozornie prywatne formy aktywności tak samo uprawniają do posiadania praw obywatelskich jak chodzenie do pracy czy walka zbrojna¹². Kłopotliwym dziedzictwem tego faktu — utrzymuje Pateman — jest to, iż kobiety i mężczyźni byli potem uznawani za obywateli w zasadniczo różny sposób: mężczyźni przede wszystkim jako żołnierze i robotnicy, kobiety przede wszystkim jako matki.

Podobne tezy zostały sformułowane w odniesieniu do kwestii związanych z rozwojem państwa dobrobytu. W większości powojennych demokracji liberalnych znaczenie pojęcia obywatelstwa zostało rozciągnięte na to, co określane jest mianem „praw socjalnych”, tak że obywatel ma prawo oczekiwać, iż zapewniony mu zostanie dostęp do edukacji i zatrudnienie, a jeśli nie, to zapewniający utrzymanie zasiłek. Jednak państwo dobrobytu, które miało stanowić kwintesencję takiego w szerszy sposób pojmowanego obywatelstwa, było zazwyczaj oparte na modelu, zgodnie z którym mężczyzna jest żywicielem rodziny odpowiedzialnym za zależną od niego żonę oraz dzieci i opieka (np. w Wielkiej Brytanii opieka społeczna) była zorganizowana właśnie wedle tej koncepcji. Pomimo późniejszych — i, wedle mojej opinii, zazwyczaj błahych — zmian gospodarstwo domowe pozostaje podstawową jednostką przy obliczaniu przysługujących świadczeń socjalnych, a w jego ramach występuje podział na głowę rodziny wraz z krewnymi i resztę domowników. Tego rodzaju praktyki stanowią odzwierciedlenie podziału pracy głęboko uwarunkowanego przez płęć i przyczyniają się do jego podtrzymywania.

Nowatorstwo tego rodzaju argumentacji polega nie tyle na tym, co mówi się o podziale pracy wedle płci, ile na wskazywaniu istnienia związku między uwarunkowaną płcią dystrybucją płatnej i niepłatnej pracy a uwarunkowaną płcią dystrybucją politycznego statusu i władzy. Pod rubryką „praw obywatelskich” feministki umieszczają obecnie i rozpatrują kwestie, które zazwyczaj rozpat-

12 C Pateman odczyt na temat powstającej pracy wygłoszony w Gender Group w London School of Economics 26 kwietnia '1991.

rywano w ramach polityki ekonomicznej czy społecznej, a strategiczna waga tego faktu polega na tym, że podnosi on debatę na temat seksualnego równouprawnienia ze sfery prywatnej do publicznej. Elementem tradycyjnej krytyki liberalnej demokracji jest teza, że przyznaje ona jedynie formalną równość polityczną, ignorując zarazem — czy wręcz akceptując — nierówności społeczne, które są związane z gospodarką rynkową. Standardowa riposta na taki argument jest taka, iż wszelkie środki, jakie można by zaproponować w celu uporania się z tego rodzaju „innymi” nierównościami, weszłyby w konflikt ze swobodami, które również należą do demokratycznej tradycji; że istnieje napięcie pomiędzy wolnością a równością i że należy dążyć do zachowania między nimi równowagi¹³. Równość polityczna może nie wystarczać, aby spełnić wszystkie wymogi egalitarnego społeczeństwa, ale przecież lepiej mieć pół ciastka niż nic. Śmielsza teza, która została sformułowana w trakcie niedawnych feministycznych dociekań, głosi, że sama przynależność do wspólnoty politycznej jest głęboko uwarunkowana przez płeć. Nie chodzi w tym wypadku o to, że polityczna równość jest czymś niewystarczającym — tak jakby równość ta została osiągnięta, ale teraz powinna być rozciągnięta z rzeczywistości politycznej na społeczną — ale o to, że nasz „polityczny” status jako obywateli jest oparty na porządku seksualnej nierówności. Jeżeli mężczyźni „zasłużyli sobie” na obywatelstwo jako żołnierze i pracownicy, zaś kobiety „zasłużyły sobie” na obywatelstwo jako matki i wychowawczynie swych dzieci, wówczas rozstrzygnięcia polityczne zalegitymizowały już seksualny podział pracy. Nierówności nie są zewnętrzną przypadłością porządku politycznego, lecz należą do jego istoty.

Kiedy równość w domu czy w pracy jest postrzegana jako kwestia „dodatkowa”, wówczas zagorzały zwolennik liberalnej demokracji może z czystym sumieniem odmówić zajęcia się tą sprawą. Równość polityczna to jedno; wszystkie pozostałe rodzaje wolności to coś całkiem innego. Żaden prawomyślny demokrat nie opowiadałby się obecnie za nierównościami w dziedzinie praw politycznych, ale demokraci mogą zajmować każde stanowisko,

¹³ Steven Lukes dowodził w przekonujący sposób, że tego rodzaju ujęcie jest nieadekwatne; że nie chodzi tu o wybór między równością z jednej a wolnością z drugiej strony, ale między różnymi kombinacjami i interpretacjami obu tych wartości. Patrz: *Equality and liberty: must they conflict?*, w: D. Held (red.), *Political Theory Today*, Polity Press Cambridge 1991.

jakie im się spodoba, w kwestii tego, co postrzegane jest jako dziedzina spraw dodatkowych. Linia demarkacyjna pozwala uciąć dyskusje na temat bardziej substancjalnych koncepcji równości — i jak zauważyły te osoby, które śledziły wydarzenia w Europie Środkowo-Wschodniej, ma to dla kobiet szczególnie katastrofalne konsekwencje. Rewolucje 1989 roku przyznały lub przywróciły obywatelom prawo do wybierania swych władz, ale było to związane z przywróceniem kobietom statusu osób będących przede wszystkim matkami, czemu towarzyszyło dążenie do kryminalizacji aborcji, zamykanie instytucji zajmujących się opieką nad dziećmi czy zachęcanie kobiet do rezygnacji z pełnoetatowej pracy¹⁴. Różnicujące podstawy, według których mężczyźni i kobiety są uznawani za obywateli, nie stanowią jakiegś historycznej osobliwości, ale nadal istnieją i mają się aż zbyt dobrze.

Są to poważne argumenty, ale pozostawiają otwartą kwestię, w jakiej mierze stanowią wyzwanie dla podstawowych zasad liberalnej demokracji. Przesuwają granice między sprawami publicznymi i prywatnymi i kwestionują konkretny punkt, w którym dokonano ich podziału. Ale o ile liberalne demokracje obstają przy istnieniu jakiegś tego rodzaju granicy (w przeciwnym razie cóż miałyby oznaczać ten umieszczony na początku przymiotnik „liberalne?”), o tyle zdołały się już wykazać rozsądną elastycznością w kwestii definicji określających, gdzie taka granica powinna przebiegać. Po części pod wpływem partii pracy i partii socjal-demokratycznych liberalne demokracje rozciągnęły zakres prawomocnych interwencji ze strony władz, tak że objęte nim zostały daleko idące regulacje dotyczące pracy i rynku. Po części pod wpływem feminizmu w bardziej zdecydowany sposób zajęły się one również prawnym uregulowaniem kwestii przemocy seksualnej oraz wzrosła ich skłonność do uznawania gwałtu małżeńskiego za przestępstwo. Jednocześnie działania skandynawskich feministek sugerują możliwość wcielenia w życie idei „społecznego obywatelstwa” nowego typu, zgodnie z którą państwo zaczęłoby się poczuwać do odpowiedzialności za prace o charakterze opiekuńczym¹⁵. Analiza nierówności w dziedzinie praw obywatelskich

¹⁴ Patrz np. B. Einhorn, *Women's right in East-Central Europe: back to Cinderella?*, w: V. Moghadam (red.), *Perestroika and Women*, Cambridge University Press, Cambridge 1992.

¹⁵ Patrz - B. Siim, *Towards a feminist rethinking of the welfare state*, w: K.B. Jones, A.G. Jonasdottir (red.), *The Political Interests of Gender*, Sage, London 1988.

pozostaje dla każdej zainteresowanej seksualną równością osoby zadaniem podstawowym i pilnym. Ale jeżeli nie da się wykazać, że demokracja liberalna jest oparta — i to nie tylko w sensie historycznym, ale także w jakiś sposób na mocy swej własnej logiki — na różnicującym traktowaniu mężczyzn i kobiet, usunięcie owych różnic może nie zmieniać jej zasadniczych parametrów. Opowiadanie się za przeciwną tezę oznacza, że zakładamy istnienie pewnej zasadniczej cechy definicyjnej liberalnej demokracji, która jest z seksualną równością nie do pogodzenia. Ta sprawa nie jest jednak jeszcze rozstrzygnięta i mamy tu do czynienia z kwestią ważną, choć wciąż otwartą¹⁶.

Uczestnictwo

Drugi istotny powód niezadowolenia feministek ujawnia się w ich krytyce liberalno - demokratycznego minimalizmu, któremu przeciwstawiana jest wizja uczestnictwa bardziej aktywnego. Tutaj również można mieć problemy z oceną, czy krytyka przemawia w sumie *przeciwko* liberalnej demokracji, czy też ma podstawy jedynie do skromniejszych roszczeń i stanowi argument za rozwinięciem demokracji w ramach szeroko rozumianych liberalno-demokratycznych norm. Dodatkowy problem stanowi fakt, iż doświadczenia kobiet dostarczają dowodów przemawiających zarówno za aktywnym uczestnictwem, jak i przeciwko niemu. Choć argumenty „za” uważam za silniejsze, należy je rozważyć w ramach bilansu, który powściąga entuzjazm minionych lat.

Pozwólcie, że zacznę od minusów aktywnego uczestnictwa. W niedawnym przeglądzie feministycznych tekstów na temat obywatelstwa Kathleen Jones zauważa, iż „w feministycznych poglądach na temat instytucji politycznych w niemal obsesyjny sposób kładzie się nacisk na uczestnictwo”¹⁷ i sam ten zwrot odsłania ambiwalentne podejście do tego rodzaju obsesji. Rozwijając przekonującą argumentację za demokracją w większym stopniu opartą na aktywnym uczestnictwie, Iris Marion Young ostrzega jednak przed bezkrytycznym obstawaniem przy założe-

¹⁶ Kwestia ta znajduje paralelę w innym podstawowym pytaniu, które trzeba postawić liberalnej demokracji: jaka jest relacja między demokracją a rynkiem? Czy rynek jest historyczną przypadłością, czy warunkiem, bez którego liberalna demokracja nie jest w stanie sobie poradzić?

K. Jones, *Citizenship in a woman-friendly polity*, dz. cyt., s. 788.

niu, iż „naszą wizję idealnego społeczeństwa wyraża anarchistyczny komunitarianizm demokracji uczestniczącej”¹⁸, i zauważa, że tego rodzaju system polityczny może spowodować przykre parcie ku ujednoliceniu. Ta oraz inne wypowiedzi są dowodem, że wczesne formy demokracji bezpośredniej w ramach ruchu kobiecego podążyły w stronę praktyk politycznych nadmiernie opartych na konsensusie i w istocie nieliberalnych, które sprawiły, że zaakceptowanie rozbieżności opinii stało się dla feministek czymś szczególnie trudnym. Nacisk kładziony na spotkania typu twarzą-w-twarz sprzyjał bardziej aktywnemu i równoprawnemu uczestnictwu, ale kobiecym grupom trudno było rozwinąć mechanizmy radzenia sobie z konfliktami, gdyż grupy te — szczególnie w pierwszych latach swej działalności (w późniejszym okresie już w dużo mniejszym stopniu) — spodziewały się, że kobiety odkryją, iż ich interesy są zasadniczo wspólne. Fałszywa jedność w „sióstrzeństwie” powodowała straszliwy nacisk na osiągnięcie powszechnego konsensusu, podczas gdy przyjęcie niemal rodzinnego modelu politycznej aktywności wymagało poniesienia kosztów, które nie zawsze były do pogodzenia z wagą, jaką feministki przykładały do autonomii i indywidualnego rozwoju¹⁹. Sceptycy dopatrzają się w tych uwagach jednej ze standardowych tez na temat różnic między demokracją liberalną a uczestniczącą, ponieważ liberalizm zaakceptowałby niezgodę jako nieuchronną i niestanowiącą z pewnością niczyjej winy. Demokracja uczestnicząca — z typowym dla niej bardziej aktywnym zaangażowaniem — często zmierza ku czemuś przeciwnemu, ponieważ zamiast traktować ludzi i ich dążenia jako coś danego, zorientowana jest na proces dyskusji, transformacji i zmiany. Nie oznacza to stwierdzenia, że demokracja uczestnicząca nieuchronnie przewiduje unifikację opinii w postaci jakiejś „woli powszechnej”, ale we wczesnych latach współczesnego ruchu feministycznego takie tendencje były niewątpliwie silne.

Jest to jeden z problemów, jakie feministki napotkały, rozwijając bardziej aktywną i zaangażowaną demokrację, a wspomnienie o nim służyć ma nie tyle za powód do porzucenia

¹⁸ I.M. Young, *The ideal of community and the politics of difference*, w: L. Nicolson (red.), *Feminism/Postmodernism*, Routledge, London 1990, s. 301.

¹⁹ K. Jones, *Citizenship in a woman-friendly polity*, dz. cyt., s. 808. Szersze omówienie kwestii „paradoksów uczestnictwa” znaleźć można w: A. Phillips, *Engendering Democracy*, dz. cyt., rozdz. 5.

wszelkich tego rodzaju ambicji, ile jako przypomnienie o problemach, które bezpośrednia demokracja może ze sobą przynieść. Drugi problem daje o sobie znać w doświadczeniach nie tyle feministek, ile kobiet w ogóle, i związany jest z zajmującymi kobietom czas obowiązkami. Pierwotną inspirację wszystkich wizji demokracji odnajdujemy w V wieku p.n.e., kiedy obywatele Aten (i innych greckich miast-państw) uczestniczyli w niezwykle bogatym i pełnym zaangażowania życiu politycznym. Obywatele naprawdę rządzą, uczestnicząc, aczkolwiek w nieznacznym stopniu, w podejmowaniu przez miasto decyzji administracyjnych i decydując o głównych kwestiach prawnych i politycznych w trakcie częstych obywatelskich zgromadzeń. Sama intensywność tego zaangażowania pozostawała jednak w sprzeczności z polityczną równością, a liczba obywateli była ściśle ograniczona. Nawet najbardziej żarliwemu wielbicielowi klasycznej demokracji trudno byłoby zignorować przesłankę, na której była ona oparta: obywatele mieli swobodę uprawiania polityki dzięki ogromnej armii kobiet, cudzoziemców i niewolników.

Oczywista teza, którą wygłosiłby każdy współczesny demokracja, mówi, że system oparty na zgromadzeniach obywateli i rotacji funkcji sprawdza się jedynie w kontekście małych wspólnot i nie przekłada się łatwo na nowoczesne wielomilionowe państwo narodowe. W literaturze feministycznej kwestia ta jest ujmowana w sposób nawet bardziej zdecydowany, ponieważ sama koncepcja aktywnego obywatela zakłada, że ktoś inny zajmuje się dziećmi i niezbędnymi codziennymi obowiązkami. W jednym z najwcześniejszych tekstów składających się na pokazną dziś feministyczną literaturę z zakresu teorii politycznej Susan Moller Okin zauważa, że „aby kobiety mogły być politycznie równouprawnione, musiałyby również spędzać znaczącą ilość czasu na uczestnictwie w politycznych mityngach i innych formach publicznej aktywności”, co oznaczałoby albo konieczność zredukowania oczekiwań wobec aktywnego obywatela, albo znaczącego uspołecznienia procesu wychowywania dzieci²⁰. Obecnie feministki odeszły w swych preferencjach od rozwiązań opartych na czystym uspołecznieniu w kierunku kombinacji zwiększonych świadczeń społecznych i równości zaangażowania między mężczyznami a kobietami w kwestii rodzicielskich obowiązków. Choć poważnie zredukowałyby to zajmujące kobietom czas zajęcia, trudno powie-

20 S.M. Okin, *Women in Western Political Thought*, Virago, London, 1980, s. 278.

dzieć w jaki sposób ktokolwiek mógłby wówczas zostać „wyzwolony” do obywatelstwa w jego mocniejszym sensie.

W tym kontekście alians feminizmu z demokracją uczestniczącą sprawia wrażenie nienaturalnego i, jeśli wziąć pod uwagę nader czasochłonne obowiązki kobiet, jest godne uwagi, że feministki są tak przywiązane do polityki mityngów. Bardziej można by się spodziewać, że to politycy mężczyźni będą odczuwać sympatię do systemu opartego na nieustannych mityngach, dyskusjach i debatach, z których wszystkie byłyby organizowane w dogodnych warunkach — poza domem i z dala hałaśliwych dzieci. Natomiast większość kobiet była, jak dotąd, tak bardzo skrupowana obowiązkami wobec dzieci, rodziców, mężów i domu, że nie byłoby dziwne, gdyby opowiedziały się za mniej wymagającą demokracją okazjonalnego głosowania. Rozmaici ludzie, od Oscara Wilde'a aż do Michaela Walzera, martwili się, że aktywność wymaga zbyt wielu mityngów i że — niezależnie od tego, jak ekscytująca może być polityka — ludzie pragną również „chodzić na długie spacery, bawić się ze swymi dziećmi, malować obrazy, kochać się i oglądać telewizję”²¹. Dodajcie do tej raczej przyjemnej listy nudniejsze zajmowanie się codziennymi domowymi obowiązkami, które pochłania kobietom tak wiele czasu, i stanie się zdumiewające, że upodobały one sobie najbardziej wymagający spośród modeli demokracji.

Tezę tę można by też sformułować w sposób ogólniejszy, po to aby zwrócić uwagę na potencjalnie antyegalitarne konsekwencje opartej na mityngach polityki. Liberalna demokracja, odkąd tylko została zreformowana i przyznaje naprawdę powszechnie prawa wyborcze (a nie zapominajmy, jak niedawno cel ten został osiągnięty), głosi, iż uznaje wszystkich swych obywateli za równych. W momencie wyborów każdy z nas ma tylko jeden głos. Jak przenikliwie zauważył Philip Green, fakt ten służy następnie jako definitywna odpowiedź na wszelkie żądania większej demokracji, ponieważ każde odwołanie się do akcji bezpośredniej lub masowych protestów czy zastosowanie bardziej substancjalnej, opartej na mityngach, formy uczestnictwa naraża na kłopotliwe pytanie: kto was wybrał, żebyście podejmowali decyzje²²? Im

²¹ M. Walzer, *A day in the life of a socialist citizen*, w: tenże, *Obligations: essays on disobedience, war and citizenship*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1970, s. 234.

²² P. Green, *A review essay of Robert A. Dahl „Democracy and Its Critics”*, „Social Theory and Practice”, 16:2, 1990.

większe są związane z uczestnictwem w demokratycznych procesach wymagania, tym bardziej nieuchronna nierównomierność owego uczestnictwa; im bardziej aktywny charakter ma demokratyczne zaangażowanie, tym bardziej prawdopodobne, że podejmuje tylko nieliczni. Dwoma formami politycznego uczestnictwa, które są we współczesnych społeczeństwach demokratycznych rozpowszechnione w najbardziej równomierny sposób, są wybory i podpisywanie petycji — formy aktywności, które, co znaczące, wymagają od nas najmniej czasu. Wszystkie inne formy demokratycznego zaangażowania związane są z działaniem grup, które wybierają się w dużej mierze same i nie zostały upoważnione do wypowiedziania się w imieniu reszty. Gdy zastanawiamy się nad tym, co stanowi bezstronną i równą reprezentację, słabość liberalnej demokracji zmienia się w jej siłę. Właśnie z tego powodu, iż ustanawia ona swoje wymogi na tak niskim poziomie, żądając od nas jedynie tego, abyśmy raz na jakiś czas pojawili się przy urnie i oddali głos, może spodziewać się większościowego uczestnictwa. „Tym sposobem liberalna tradycja pluralistyczna skłonna jest uznawać wybory za właściwie bezkonkurencyjne: za jedyną prawomocną metodę ustalania woli jedynego definiowalnego zbioru osób znanego jako «Lud»”²³. Wszelkie formy rozszerzonej demokracji mogą zostać skrytykowane jako niereprezentatywne.

W tym miejscu musimy zająć się kontrargumentami, które skłaniają feministki do opowiadania się za zaangażowaniem bardziej aktywnym. To, iż liberalna demokracja wymaga sankcji ogólnego głosowania, daje jej przewagę, ale czyniąc to, ignoruje ona problem nieadekwatności głosowania jako środka wyrażania naszych interesów czy potrzeb. W ciągu stuleci kontestacji demokraci wskazywali na fakt, iż głosowanie raz na pięć lat trudno uznać za istotny wyraz ludowej kontroli; że wybieranie pomiędzy możliwościami, które różnią się od siebie jedynie w szczegółach, nie daje obywatelom zbyt wielkiego pola wyboru; że wybieranie między niejasno sformułowanymi i nader często zarzucanymi programami pozostawia decyzje w rękach politycznych elit. Kolejny problem związany jest z kwestią związku głosowania z wyrażaniem interesów. Feministyczne analizy kobiecej tożsamości i interesów znacznie zwiększają wagę argumentacji tych, którzy kwestionowali występowanie takiego związku.

Jedną z definicyjnych cech prowadzonej przez ruch kobiecy polityki była waga przywiązywana do „podnoszenia świadomości”

²³ Tamże, s. 238.

i powszechnie podzielane poczucie, że kobiety borykają się z wewnątrznie sprzeczną tożsamością, która w pewnym sensie została im narzucona. Jak ujmuje to słynne sformułowanie Simone de Beauvoir, „nikt nie rodzi się kobietą, kobietą się zostaje”, a elementem takiego społecznego konstruktu jest właśnie kultura bierności i samowyrzeczenia. Kobiety odczuwały potrzebę „oduczenia się” tego, czego nauczyły się w przeszłości; stąd wzięło się też, dziwaczne w innym wypadku, poczucie, że trzeba „odkryć”, iż kobiety są uciskane. Tym, dzięki czemu takie odkrycie jest możliwe, jest oczywiście wewnątrznie spreczny charakter doświadczeń i świadomości kobiet; poczucie, że rzeczy do siebie nie pasują. Ale polityczny problem, który z tego wynika, polega na tym, że nie tylko jest tak, iż kobiety wiedzą, czego chcą, tyle że nie mogły dotąd sprawić, aby je usłyszano — jeszcze bardziej rozpowszechnione i kłopotliwe okazują się problemy związane z artykulacją własnych potrzeb. Tym, co z tego przede wszystkim dla demokracji wynika, jest transformatywne znaczenie mityngów, dyskusji i rozmów. Interesy nie są bynajmniej już „obecne”, dane z góry czy ustalone. Demokracja nie polega jedynie na (okazjonalnym) przedstawianiu istniejących już u jednostek preferencji i poglądów. Jest ona — w szczególności dla kobiet — także uprzednim procesem tworzenia własnej tożsamości, konstruowania własnych interesów i formowania własnych poglądów politycznych.

Feministki oparły się na takich argumentach, aby zakwestionować samo pojęcie „interesów kobiet”, które mogą zostać po prostu politycznie zmobilizowane i wyrażone²⁴, a o ile we wcześniejszych latach powszechne było poczucie, iż mamy tu do czynienia z usuwaniem wiekowych naleciałości, ażeby odkryć pod spodem „prawdziwą” osobę, o tyle współczesna teoria niemal jednogłośnie uznaje kobiecą tożsamość za wieloraką i niestabilną; za coś, co ma być raczej tworzone wciąż na nowo niż po prostu odkryte. Im dalej się idzie w tym kierunku, tym ważniejsza staje się wizja poszerzonego uczestnictwa, która przyświeca krytykom liberalnej demokracji. Nieadekwatność głosowania polega w tym wypadku nie tylko na tym, że odbywa się ono tak rzadko i nie zapewnia wyborcom istotnej możliwości kontroli; równie ważne jest leżące u podstaw głosowania założenie, iż interesy są dane

²⁴ Patrz: R. Pringle i S. Watson, „*Womens interests*” and the post-structuralist state, w: M. Barrett, A. Phillips (red.), *Destabilizing Theory: contemporary feminist debates*, dz. cyt.

z góry, i sposób, w jaki działa ono na rzecz podtrzymania *status quo*²⁵. Fakt, że kobiecość (a w konsekwencji i męskość) jest społecznym konstruktem, sprawia, że nie możemy po prostu uznać początkowych stanowisk za wyraz ludzkich interesów i potrzeb. Opinie, które są wyrażane w trakcie wyborów, referendów i, zdawałoby się, niezliczonych sondaży opinii publicznej oraz badań nad postawami, nie powinny być traktowane jako pierwsze i ostatnie słowo, ponieważ tam, gdzie przypisywane płciom role tak głęboko kształtują nasze pojmowanie samych siebie i własnych interesów, owe pierwotne stanowiska są dwuznaczne i podejrzane.

Pierwsza część argumentacji za bardziej aktywną demokracją powiązana jest z drugą kwestią: taką, iż feministyczna analiza ucisku wykracza poza materialne nierówności w dziedzinie dochodów i zatrudnienia, ażeby skoncentrować się na fakcie, że kobiety mają marginalny status i nie posiadają władzy. Gdyby seksualna nierówność sprowadzała się do zagadnień podziału dochodów i pracy (tych pierwszych dużo za mało, tej drugiej o wiele za dużo), byłaby w zasadzie podatna na usunięcie metodami odgórnymi. Uzbrojone w podstawowe demokratyczne narzędzie głosowania kobiety mogłyby działać na rzecz wybrania władz bardziej wrażliwych na ich ubóstwo, zaangażowanych w realizację pełniejszego programu równej pracy za równą płacę, powiązanego z zestawem zaspokajających potrzeby kobiet rozwiązań w dziedzinie polityki społecznej. Ale problemów ucisku nie da się rozwiązać wyłącznie za pomocą redystrybucji, ponieważ nierówność występuje nie tylko jako stan końcowy w dziedzinie dystrybucji dóbr, ale również jako instytucjonalny kontekst, który ogranicza nasze możliwości uczestnictwa i rozwijania naszych własnych możliwości²⁵. Ten typ autonomii i szacunku dla siebie, który feminizm stara się rozwinąć, może być osiągnięty jedynie wówczas, kiedy kobiety wyzwolą się ze swego poddańczego

²⁵ Występuje tu analogia do argumentów przedstawionych przez Barbera w *Strong Democracy*, który podobnie kładzie nacisk na transformacyjne znaczenie aktywnego uczestnictwa poprzez udział w meetingach. Należy jednak zauważyć, że pewne aspekty jego argumentacji zostały wyraźnie skrytykowane z perspektywy feministycznej przez Iris Young w jej eseju na temat wspólnoty politycznej i grupowych różnic (patrz przyp. 27).

²⁶ I. Young, *Justice and the Politics of Difference*, Princeton University Press, Princeton 1990.

Czy feministki muszą zrezygnować z liberalnej demokracji?

statusu, a to z kolei może zdarzyć się jedynie na skutek aktywności samych kobiet.

Z obu tych powodów feminizm nadal opowiada się za porządkiem politycznym opartym na uczestnictwie i za bardziej aktywnym zaangażowaniem kobiet w podejmowanie decyzji we własnej sprawie. Jednakże raz jeszcze pojawia się tu kwestia: czy jest to argument przeciwko zasadom liberalnej demokracji, czy też za dalszą demokratyzacją w ramach liberalnej demokracji? Wyostrzona wrażliwość kobiet na problemy związane z brakiem czasu sprzymierza się z posiadaną przez feminizm wiedzą o pułapkach bezpośredniej demokracji, prowadząc do odrzucenia zbyt spolaryzowanej alternatywy między mnożeniem mityngów a zwykłym chodzeniem na wybory i zachęcając nas do tego, byśmy raczej połączyły mocne strony obu tradycji, zamiast uznawać jedną za lepszą od drugiej. Problem z liberalną demokracją może polegać zatem nie tyle na jej naturalnej niezdolności do rozszerzenia form obywatelskiego uczestnictwa, ile na samozadowoleniu, z jakim utrzymuje, iż urzeczywistniła już wszystkie prawomocne demokratyczne aspiracje. Nieszczególnie ułatwia to jednak załatwienie sprawy. Zamknięta forma demokracji może być historyczną przypadłością, a nie logiczną koniecznością, ale w okresie historycznym, gdy liberalni demokraci mają poczucie, że wygrali wszystkie polityczne batalie, takie samozadowolenie stanowi potężną przeszkodę na drodze ku dalszej demokratyzacji.

Heterogeniczność i grupowa odmiennosc

Zgoda w ostatnim obszarze kontrowersji może okazać się dla liberalnej demokracji najtrudniejsza, ponieważ chodzi tu o ideę indywidualizmu jako podstawowej jednostki demokratycznego życia. Jeśli spojrzymy na liberalną demokrację jako na amalgamat określonych podstawowych zasad liberalnej i demokratycznej tradycji, zobaczymy, że tym, co bierze ona z liberalizmu, jest abstrakcyjny indywidualizm, który może dostrzegać występujące między nami różnice, ale głosi, że nie powinny się one liczyć. W swym najlepszym wydaniu stanowi on deklarację głębokiego egalitaryzmu, który wszystkim obywatelom przyznaje taki sam status prawny i polityczny, niezależnie od ich zamożności, pozycji społecznej, rasy czy płci. W swym wydaniu najgorszym kwestionuje istnienie utrzymujących się różnic i nierówności, udając na użytek dyskusji, że wszyscy jesteśmy zasadniczo tacy sami.

Feministki zajmujące się kwestiami prawnej czy ekonomicznej równości zauważyły, jak bardzo podejście takie może utrudniać kobietom domaganie się jakiegokolwiek różnicującego podejścia, które dla osiągnięcia rzeczywistej równości może być niezbędne. Feministki zajmujące się kwestią demokratycznego przedstawicielstwa napotkały tego samego rodzaju problemy — szczególnie wówczas, gdy argumentowały, iż płeć naszych przedstawicieli jest kwestią istotną.

Jak wykazały niedawne doświadczenia krajów skandynawskich, niedoreprezentacja kobiet jest problemem w pełni rozwiązywalnym — i to nawet bez dokonywania, skądinąd bardzo potrzebnego, przewrotu, który polegałby na równiejszym rozdysponowaniu pracy pomiędzy kobiety a mężczyzn. Przy wystarczającej woli politycznej, wspartej wprowadzeniem przez partie formalnych udziałów gwarantowanych, zapewniających każdej płci czterdziestoprocentowe minimum, liczbę kobiet wybieranych na politycznych przedstawicieli można ogromnie zwiększyć. Taka polityczna wola zmaterializuje się jednak jedynie wówczas, gdy płeć uznana zostanie za znaczący czynnik polityczny. Abstrakcyjny indywidualizm liberalnej demokracji stanowi tu potężną przeszkodę, ponieważ sprzyja koncepcji „Jednostki” i „obywatela” jako postaci o nieokreślonej płci. W społeczeństwach, które są na wskroś nasycone przypisanymi płciom rolami, taka obojętność na płeć może zaś jedynie sprzyjać podtrzymywaniu statusu mężczyzn.

Ostatnie prace feministyczne rozbudowały tę perspektywę i — opierając się na analizach różnic między płciami — rozwinęły dalekosiężną argumentację dotyczącą rozmaitych różnic między występującymi w heterogenicznych społeczeństwach grupami oraz sposobów, w jakie mogą one zostać uwzględnione i wyrażone. Tak więc np. punktem wyjścia przeprowadzonej przez Iris Young krytyki istniejącego modelu demokracji jest fakt, że nie uznaje ona stosowności rozróżniania grup²⁷. Liberalna demokracja zakłada trwały pluralizm w dziedzinie opinii i przekonani (o czym świadczy jej opowiadanie się za rywalizacją między wielu partiami), ale, jeśli nie liczyć tak zwanych demokracji konsocjacyjnych, nie postrzega ona owego pluralizmu jako czegoś związanego z występowaniem odmiennych i nierównych grup społecznych. Partie polityczne zwracają się do nas jako do ludzi o odmiennych opiniach na aktualnie istotne kwestie wagi państwowej i choć partie te znajdują

poparcie u określonych klas, suma ich zwolenników musi być na tyle liczna (i na tyle nieokreślona), aby mogły one startować w wyborach powszechnych. Grupy nacisku mogą oczywiście mobilizować się, opierając się na bardziej konkretnej bazie społecznej (czarni rodzice domagający się lepszych szkół, studenci domagający się wyższych stypendiów, farmerzy domagający się wyższych subsydiów), ale wówczas sama ich partykularność obraca się przeciwko nim, ponieważ reprezentują tylko jeden spośród wielu konkurujących interesów. Kwestia, jaką w swej pracy podniosła Iris Young, jest taka, czy polityczna równość może być rzeczywista, gdy brak formalnych mechanizmów uwzględniania grupowej odmienności.

Żywy interes demokracji — utrzymuje Young — nie pozwala nam czekać, aż ustalimy, czy takie rozróżnianie grup jest pożądane albo nieuchronne (choć ona sama jest przekonana, że oba te twierdzenia są prawdziwe). „Nasz problem polityczny polega na tym, że niektóre z naszych grup są uprzywilejowane, podczas gdy inne są uciskane”²⁸. Istniejące mechanizmy przyznają rzeczywistą władzę grupom dominującym i choć ich dominacja może zostać przystrojona w szaty bezstronnej perspektywy ogólnej albo przedstawiona jako po prostu decyzja większości podjęta za pośrednictwem ogólnonarodowych wyborów, jej konsekwencją jest dalsze tłumienie wszelkich zmarginalizowanych, dyskryminowanych opinii. Demokracja nie może wciąż opierać się na założeniu o istnieniu niezróżnicowanej ludzkości czy na pełnym samozadowoleniu twierdzeniu, że wszystkie głosy odgrywają równą rolę z powodu równych praw do uczestnictwa w głosowaniu.

Alternatywne rozwiązanie, które Young proponuje, przewidywałoby wprowadzenie publicznych dotacji sprzyjających samoorganizacji uciskanych grup; wymogu, aby politycy brali pod uwagę propozycje polityczne, które grupy takie by wówczas wysuwały, oraz (co stanowi najbardziej kontrowersyjną ze wszystkich propozycji) przyznanie takim grupom prawa weta wobec określonych decyzji politycznych, które by w najbardziej bezpośredni sposób na nie wpływały. Nie przedstawiam tej koncepcji jako programu na przyszłość — debata na ten temat dopiero się rozpoczęła — i w istocie mam kilka zastrzeżeń co do koncepcji grupowej reprezentacji. Związane są one między innymi z trudnym problemem zamkniętego charakteru grup (faktu, iż ludzie poczynają tu definiować się politycznie poprzez coś, co stanowi

²⁷ Tamże; patrz też I.M. Young, *Polity and group difference: a critique of the ideal of universal citizenship*, „Ethics”, 99, 1989.

pojedynczy, zamrożony aspekt ich życia); z kwestią, kto ma prawo rozstrzygać, którym grupom przysługuje dodatkowa grupowa reprezentacja, oraz z występowaniem niemal nieprzezwycięzalnych przeszkód na drodze do ustalenia, co każda z grup chce. Zagadnieniem tym zajmowałam się obszerniej gdzie indziej²⁹; najistotniejsza w tym kontekście jest kwestia, jak stworzyć zgodne z demokratycznymi standardami procedury służące zebraniu opinii członków którejkolwiek z takich grup. Koniec końców, mamy jedynie dwie takie wypróbowane i sprawdzone procedury. Ludzie mogą głosować w jakichś anonimowych wyborach albo mogą, w celu wyrażenia swych poglądów, pojawiać się na mityngach. Pierwsza procedura wydaje się, gdy chodzi o rozwinięcie zmarginalizowanej do tej pory perspektywy, szczególnie niewłaściwa: bowiem w jaki sposób mamy zidentyfikować wszystkich wchodzących w grę wyborców i w jaki sposób mamy się upewnić, że głosują oni z określoną częścią swej tożsamości w głowie? (Możliwe jest wpisanie wszystkich kobiet na kobiecą listę wyborców, ale nie można od nich wszystkich oczekiwać, że będą głosować *jako kobiety*, a niejako katoliczki, socjalistki czy osoby pragnące upiec jeszcze jakąś inną pieczeń. W wypadku mniejszych i mniej widocznych podgrup trudno ustalić nawet to, kto stanowi grupę.) Alternatywą jest oparcie się na mityngach, które mają tę podwójną zaletę, że to członkom grupy pozostawiają rozpoznanie się i umożliwiają im rozwinięcie grupowego punktu widzenia. Ale nawet najbardziej powierzchowna znajomość badań nad politycznym uczestnictwem potwierdza to, co większość z nas wie już na podstawie osobistego doświadczenia, a mianowicie, iż ci, którzy chodzą na mityngi, są grupą zupełnie niereprezentatywną.

Zagadnienie nierówności między grupami jest jednak zbyt poważne, by mogło zostać odsunięte na bok z powodu jakiegokolwiek tego rodzaju zastrzeżenia. Kwestia „demokracja a różnica” stanowi sedno współczesnych związanych z demokracją dylematów — i w skali międzynarodowej znajduje swój odpowiednik w podziale dawniejszych imperiów na mniejsze państwa narodowe i w narastającym zagrożeniu mniejszości narodowych. Ludzie nie

²⁹ A. Phillips, *Democracy and difference: some problems for feminist theory* "Political Quarterly", 1992. Krytyczną analizę sytuacji tych elementów brytyjskiego życia politycznego, które są najbliższe modelowi grupowej reprezentacji, znaleźć można w: H. Cain, N. Yuval-Davis *Th e "equal opportunities community" and the anti-racist struggle*, "Critical Social Policy", 29, 1990.

definiują siebie po prostu jako obywateli, ale, z wyboru lub z konieczności, często utożsamiają się z jakąś mniejszą podgrupą. Tam, gdzie fakt ten odzwierciedla historię systematycznego dyskryminowania określonych mniejszości, nie można z miejsca uznać, iż jest to niewłaściwa podstawa do demokratycznej organizacji. Ale mechanizmy, które proponuje się nam w celu uporania się z systemową różnicą i nierównością między grupami, często sprawiają wrażenie starej polityki grup interesu w bardziej radykalnym przebraniu. Przedstawiona przez Iris Young wizja aktywnej i oddolnej reprezentacji uciskanych grup wygląda dużo bardziej obiecująco niż elitarne praktyki demokracji konsocjacyjnych, ale wciąż nie pozwala rozwiązać wszystkich problemów. Jak słusznie nam przypominają ci, którzy przemawiają starszym językiem obywatelskiego republikanizmu, elementem idei demokracji jest również wizja ludzi zaczynających dostrzegać ograniczenia swych własnych specyficznych interesów i dążeń, uczących się zauważać potencjalne konflikty między własnym stanowiskiem a stanowiskiem przyjętym przez innych i uznających istnienie liczniejszej społeczności, do której wszyscy w ostatecznym rozrachunku należymy³⁰. Tej wizji z reguły nie udawało się ziszczyć — nigdy nie okazała się na tyle wszechstronna, by objąć wszystkie specyficzne interesy grupowe czy wyrazić wszelkie oddolne dążenia — ale to nie wystarcza, by pozbawić ją miejsca, jakie zajmuje w demokratycznej tradycji. Być może najgorszym dziedzictwem thatcheryzmu jest w Wielkiej Brytanii sposób, w jaki uprawomocnił on politykę opartą na interesach poszczególnych osób i wąskich grup, wyszydzając idealizm wszystkich tych, którzy podpisywali się pod bardziej wielkoduszną wizją nowoczesnego państwa dobrobytu. I o ile jest to podejście narażone na potężną krytykę w kategoriach *innych* interesów, które nie zostały uwzględnione lub których istnienia zaprzeczono — w szczególności interesów tych, którzy mają najmniejsze w społeczeństwie dochody — o tyle pozostaje ono w sprzeczności nawet jeszcze bardziej fundamentalnej z jakąkolwiek koncepcją zakładającą możliwość istnienia wspólnych dążeń.

Feministki mają w tej kwestii własne doświadczenia, które dają o sobie znać w rozdrażnieniu, iż musimy wciąż wyrażać „kobięcy punkt widzenia”, podczas gdy kwestia kobieca stanowi tylko jeden

~ ³⁰ Podobną argumentację znaleźć można w znajdującym się w tym tomie tekście D. Millera *Demokracja debatująca a teoria wyboru społecznego*, s. 29.

spośród wielu palących problemów. Tym, co powoduje owo rozdrażnienie, nie jest jedynie lęk przed zepchnięciem na margines (lęk, który na przestrzeni tego stulecia był widoczny u wielu kobiet polityków sprzeciwiających się kojarzeniu ich z „kwestią kobiecą” jako czemuś, co uniemożliwiłoby im dotarcie do centrów władzy), ale również głębsze poczucie, iż polityka obejmuje pełny zakres kwestii i koncepcji, które nie dają się sprowadzić do grupowych interesów czy potrzeb. W tym sensie jednym z głównych problemów, jakie napotykamy przy rozwijaniu feministycznej wizji demokracji, jest to, jak stawiać opór naciskom w kierunku podciągnięcia kobiet pod rzekomo nieokreślającą płci kategorię „człowiek”, nie kapitulując z tej racji przed wąskimi lub czysto grupowymi interesami czy potrzebami — czy też, ujmując rzecz inaczej, to, jak zachować ideę ludzi demokratycznie współdziałających w imię realizacji wspólnych interesów bez popadania w zwodniczy spokój ducha, który ignoruje systemowe nierówności między grupami.

Tym, co jest tu ważne, jest fakt, że liberalna demokracja w swej aktualnie praktykowanej postaci sprawia, iż trudno nawet zająć się tym problemem, ponieważ ustawicznie odsyła ona nas do indywidualium jako do podstawowej jednostki życia politycznego, uniemożliwiając poważne zastanowienie się nad wsparciem dyskryminowanych *grup*. Jest to być może punkt, w którym rozbieżność między perspektywą feministyczną a liberalno-demokratyczną najmocniej się zaznacza i jako że teorie feministyczne dążą do prześledzenia złożonych i trudnych konsekwencji przyjęcia idei „polityki różnicy”, możemy spodziewać się wyraźnego oporu ze strony tych, którzy postrzegają demokrację w nieubłaganie indywidualistycznych kategoriach. Rodzi się więc pytanie, czy taki twardegłowy indywidualizm jest jedyną możliwą formą liberalnej demokracji; czy indywidualizm taki należy do jej natury? Trudno tu o definitywne potwierdzenie. Michael Walzer ujął niedawno komunitariańskie krytyki liberalizmu jako debatę *w ramach* liberalizmu³¹; Will Kymlicka przedstawił niepokalanie liberalne argumenty za uznaniem praw grup³², zaś w wypadku praktyk demokracji konsocjacyjnych już obecnie mamy do czynienia ze

³¹ M. Walzer, *Komunitariańska krytyka liberalizmu*, przeł. P. Rymarzyk, w: *Komunitarianie. Wybór tekstów*, Fundacja Aletheia Warszawa 2004, s. 91-113.

³² W. Kymlicka, *Liberalism, Community and Culture*, Clarendon Press Oxford 1989.

zinstytucjonalizowaną reprezentacją zarówno społeczności, jak i jednostek. Jeżeli nie uznamy tych teoretycznych i politycznych inicjatyw za wychodzące poza granice liberalnej demokracji, będzie to oznaczać, iż liberalna demokracja już poczyniła kroki w kierunku uznania, że dostrzeganie grup jest czymś stosownym.

Feminizm a liberalna demokracja

Te trzy obszary niezgody wskazują zarówno na zakres niezadowolenia feministek z istniejącej formy liberalnej demokracji, jak i na problemy w zdecydowaniu, czy z niezadowolenia tego wynika w sumie jakiś alternatywny punkt widzenia. W feministycznych dociekaniach na temat praw obywatelskich podnoszone są zasadnicze kwestie dotyczące podstaw, według których kobiety zostały włączone do społeczności politycznej, i rozważany jest problem, jakie zasadniczo warunki powinny zostać stworzone, ażeby można uznać je za zapewniające polityczną równość. Waga, jaką feminizm przywiązuje do tego, aby kobiety były w stanie przekształcić własną tożsamość i samoświadomość, uwypukla trwałą istotność aktywnego zaangażowania w zbiorowe dyskusje i działania. Krytyka zależności jako zasadniczego elementu seksualnej nierówności lokuje feminizm zdecydowanie w obozie mocnej demokracji, w którym oddanie ludziom władzy uznawane jest za równie ważne jak ostateczne rezultaty polityczne. Analiza systemowych nierówności — nie tylko między kobietami a mężczyznami, ale, ujmując rzecz ogólniej, między uciskanymi a dominującymi grupami społecznymi — podnosi istotne kwestie dotyczące oddania ludziom władzy nie tylko jako indywidualiom, ale również jako członkom specyficznych grup.

Powyższe wywody wskazują na to, co stanowiło do tej pory chroniczną właściwość liberalnej demokracji, i argumenty łączą się w mocną i radykalną krytykę ograniczeń istniejącej formy demokracji. Jednak żaden z nich nie może być przedstawiany jako argument za przyjęciem jakiejś zasadniczej alternatywy dla liberalnej demokracji — po części z powodu trudności w odróżnieniu jej historycznej genezy od definiującej ją istoty. Historyczna geneza nie przesądza o całym późniejszym rozwoju, a wskazanie na historyczne czy też — co feministki łatwo mogłyby uczynić — na współczesne związki między liberalną demokracją a seksualną nierównością nie dowodzi, że są to powiązania konieczne czy też wynikłe z natury owej demokracji. Stworzenie bardziej rozwiniętej

i zapewniającej większą równość demokracji może pozostawać możliwe w obrębie ogólnych ram demokracji liberalnej.

W czasach, gdy świat usłany jest szczątkami „alternatyw” dla liberalnej demokracji, szczególnie trudno prezentować własną krytykę jako wskazującą drogę do jakościowo odmiennej formy politycznej. Tak więc feministki mogą — i sędzę, że powinny — związać się z dążeniami ku bardziej aktywnej i zaangażowanej formie demokracji, ale nie możemy pozwolić sobie na to, by przedstawiać ją jako alternatywę dla organizowania wyborów. Feministki zawsze kwestionowały — i nadal będą kwestionować — sposób, w jaki określone podziały między sferą publiczną i prywatną są gwarantem wykluczenia i uciskania kobiet, ale niewiele z nich chciałoby to potraktować jako punkt wyjścia dla żądania zniesienia wszelkich tego rodzaju rozróżnień. Feministki słusznie rozwijają analizę różnic między płciami w szersze rozważania na temat systemowych różnic między nierównymi względem siebie grupami społecznymi, ale z wymogami demokratycznej odpowiedzialności idą w parze zastrzeżenia wobec interesów „Jedynie” grupowych i potrzeba poddania ich pewnym podyktowanym przez rozważenie ograniczeniom.

Rozwaga jest dziś, rzecz jasna, hasłem dnia i w najbliższej przyszłości bardziej realne zagrożenie związane jest nie tyle z ryzykiem pojawienia się niedemokratycznych alternatyw dla liberalnej demokracji, ile z samozadowoleniem tych, którzy sądzą, iż uporządkowali polityczną praktykę. Liberalna demokracja w dużej mierze nie zdołała — ani w teorii, ani w praktyce — zająć się kwestią seksualnej równości i byłoby smutne dla demokracji jako takiej, gdyby niezwykle wydarzenia polityczne lat 80. i 90. zapoczątkowały okres niekwestionowanych hołdów dla ograniczonej demokracji, której dobrodziejstwami się obecnie cieszymy. To w istocie ten właśnie kontekst tłumaczy troskę, jaką wzbudza we mnie przełożenie nacisku z idei uczestnictwa na ideę obywatelstwa. Niezależnie od tego, jak chwiejny jest model demokracji opartej na mityngach; niezależnie od tego, jak bardzo wystawiony jest na zarzut, iż na mityngi te przyjdzie zbyt mało osób, bardziej aktywny i zaangażowany wzorzec demokracji, który był praktykowany w pierwszych latach ruchu kobiecego, nie może zostać usunięty z feministycznych koncepcji demokracji lepszej i pełniejszej. W tym kontekście powinien być jednak dostrzeżony atut wyborów — fakt, iż gwarantują one liczebną równość, w ramach której każdej jednostce przypisuje się jednakowe znaczenie. Jest to dla nas zasadniczym napomnieniem o podstawowej i trwałej

zasadzie demokracji — tej, iż jesteśmy w niej uważani za równych — i wprowadza niezbędną przestrożę do wszystkich naszych dyskusji o rozwijaniu i pogłębianiu demokracji. Jednak, gdy równość taka jest oparta (tak jak się to wciąż dzieje) na koncepcji, że interesy i preferencje są czymś oczywistym i, gdy przeciwstawia się ona (tak jak zawsze to czyni) bardziej radykalnym innowacjom, nie może być potraktowana po prostu jako ostatnie słowo. Nie ma sensu rozważać tych kwestii w kategoriach tworzenia „alternatyw” dla liberalnej demokracji, ale feminizm — ze wszystkich powodów, które powyżej zostały zarysowane — będzie nadal inspirował dążenia do bardziej substancjalnej demokracji niż ta, która jest nam obecnie oferowana.